

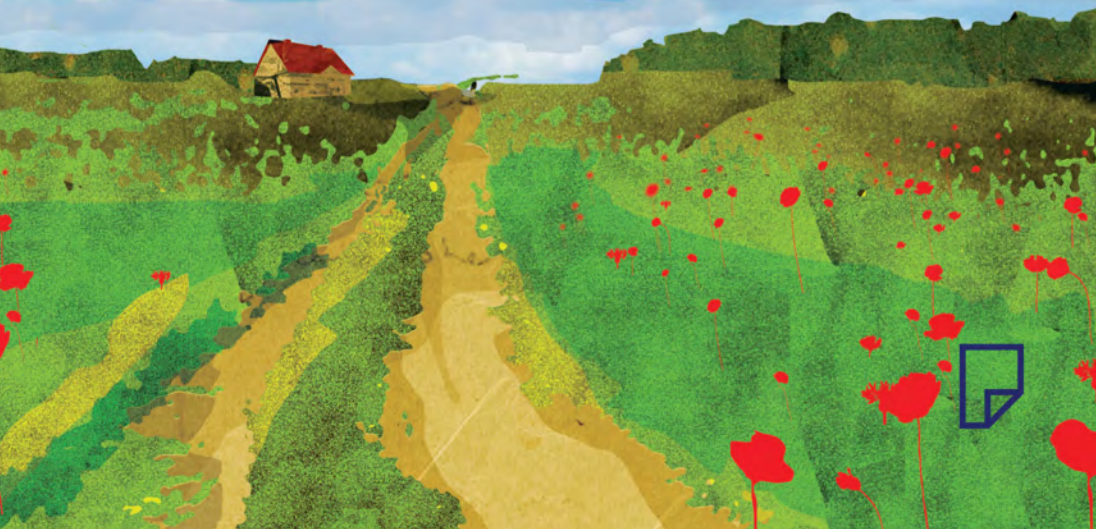
*Mazurski pejzaż z dwojgiem dojrzałych
do ucieczki od zgiełku miasta*

JANUSZ MAJEWSKI

Siedlisko

NA PODSTAWIE SCENARIUSZA SERIALU

POD TYM SAMYM TYTUŁEM



1.

Lotnia krążyła po niebie wolno, cicho i majestatycznie, jak drapieżny ptak nieubłaganie wypatrujący gryzoni na zaoranym polu. Widziany z góry piękny krajobraz mazurski w słoneczny, jesienny dzień na przełomie września i października zachwycał lotniarza tak, że ponawiał on spirale lotu, kontemplując wszystkie odcienie gasnącej zieleni, żółci, czerwieni i złota na koronach drzew, błękit i srebro na taflach jezior, w przejrzystym jak kryształ, zimnym powietrzu. Rozmyślał w uniesieniu, że z tego dystansu wszystko zyskuje wyraz odwieczny, że gdyby zawisł nad tą ziemią na wieki, pod jego stopami przesuwająby się ludzkie pokolenia, narody staczałyby między sobą wojny, ludzie rodziliby się, mierzyliby z losem, umierali i rozsypywali w proch, a te wzgórza, jeziora i lasy trwałyby niewzruszone, obojętne na wszystko, wyniosłe i pewne siebie.

Drogą drugiej czy nawet trzeciej klasy jechał mały biały samochód, ostatni model przestarzałej marki 126P, zbyt pieszczotliwie nazywany maluchem. Lotniarz prowadził go przez chwilę wzrokiem, aż pojazd zniknął za zakrętem.

Auto zatrzymało się na poboczu.

Od strony kierowcy wysiadł Krzysztof i szybko oddalił się w krzaki. Marianna wygramoliła się z siedzenia pasażera. Była niestara jeszcze i niebrzydką kobietą, lecz dość pulchną i trochę zaniedbaną. Rozłożyła na masce mapę, pochyliła się nad nią i poszukiwała czegoś uważnie, nie zwracając uwagi na szalejące w lesie hałaśliwe rozmowy ptaków. Nagle oderwała się od mapy. Z trudem wyprostowała obolały grzbiet. Spojrzała w stronę lasu.

– O Boże! – wzdrygnęła się przestraszona.

Przed nią stał stary biednie ubrany mężczyzna. Spod zniszczonego kapelusza wylaniała się nieogolona i pomarszczona twarz bez wyrazu. Dłonie opierał o kij.

– Pochwalony – odezwał się, nie uchylając kapelusza.

– Przestraszył mnie pan... – powiedziała naiwnie Marianna i rzuciła szybkie spojrzenie w kierunku drzew po drugiej stronie szosy, gdzie zniknął mąż. Starzec milczał w bezruchu, co ją deprymowało. Uśmiechała się, nadrabiając miną.

– Pan tutejszy?

– A ona kto? – zapytał stary.

– Szukam drogi do Panistrugi. Trochę się zgubiłam...
– Zaśmiała się niepewnie. – Ostatni raz byłam tu na wakacjach prawie czterdzieści lat temu. Wszystko się pozmieniało, Takie wielkie lasy teraz...

Nieruchoma dotąd twarz starego człowieka ożywiła się nagle, tak jakby dostrzegł coś, co go poruszyło. Marianna przyjrzała się baczniej staremu.

– Drzewa nie stoją w miejscu – powiedział wolno, ale bardziej do siebie niż do niej.

Popatrzyła na niego z uśmiechem, spodobało jej się to zdanie.

– Idą w górę i w siebie – dodał stary i lekko odchylił głowę, patrząc na przeciwległą ścianę lasu.

Podążyła za jego wzrokiem i z ulgą stwierdziła, że nadchodzi mąż, nie spiesząc się, niosąc jakieś grzyby.

– Krzysiu... właśnie rozmawiamy sobie z panem, bo może mógłby nam...

– Dzień dobry – Krzysztof rzucił nieufnie.

– Dzień dobry, ale one niedobre. – Stary wskazał grzyby wyciągniętą laską. – Niezjadliwe. I nie ta pora.

Krzysztof niedbale wyrzucił grzyby do rowu i odparł nieco wyniośle:

– Oczywiście. Wiem.

– Śliczne – rzuciła Marianna, patrząc na kępkę poskręcanych marnych grzybków. – Ale szkoda. Takie też potrzebne ściółce...

Krzysztof skrzywił się, wsiadając do samochodu.

– Szkoda jest taka, droga Marianno, że nie wiesz, jak trafić do tej choleralnej pani jakiejś tam...

– Panistruga!... – uzupełniła i niepewnie uśmiechnęła się do siebie. Zebrała mapę z maski samochodu, słysząc niecierpliwe pukanie w szybę i ponaglanie.

– Panistruga?! Pani struga sobie ze mnie wariata i to od momentu, kiedy wsiedliśmy do tego grata w Warszawie – ironizował. – Wie pan – wychylił się przez okienko, mówiąc do starego człowieka – niektórzy uważają, że to jest samochód! Da pan wiarę? Poważnie twierdzą, że to jest samochód!

– Daj spokój, Krzysiu... – Marianna usiłowała zbagatelizować i zatuszować niestosowność tych żarcików, gdyż wydawało się jej, że stary człowiek przyjmuje je jako arogancję wymierzoną w siebie. Wstydziła się głupekowatej zgryźliwości męża i tego całego pokazu pychy.

Ale stary puścił wszystko mimo uszu.

– Jedźcie prosto, za przejazdem w prawo – rzekł spokojnie, wręcz flegmatycznie.

– Dziękuję panu – Marianna uśmiechnęła się z wdzięcznością – bardzo dziękuję.

– A to do kogo? – spytał stary beznamiętnie.

– Do Róży Kapli... – zaczęła Marianna, ale zaraz poprawiła:

– Do gospodarstwa Róży Kapli...

– Aha – stary schylił się po wiązkę chrustu – zmarło się jej...

Odwrócił się i ruszył w głąb lasu. Patrzyła za nim przez chwilę.

– Wiem... – szepnęła i wsiadła do samochodu.

Krzysztof zazgrzytał skrzynią biegów i ruszył.

– Głodny jestem – rzucił niechętnie.

– Dam ci kanapkę – powiedziała gorliwie, tonem świadczącym, że już to proponowała, i to pewnie niejedną raz.

– Nie będę tu kruszył – warknął – może trafimy wreszcie na jakiś cholerny zajazd. Kapitalizm na to zadupie nie dotarł?

Marianna nie podjęła tematu, co tym bardziej sprowokowało go do następnej gderliwej wypowiedzi:

– Mogliśmy zjeść w Ełku. Mówiłem: notariusz, obiad, potem znaleźlibyśmy jakąś agencję, zgłosilibyśmy to całe gospodarstwo do sprzedaży i wrócilibyśmy do Warszawy. Ale ty się uparłaś i teraz tłuczemy się jak głupcy. Pchać się w tę głuszę, przez jakieś babskie sentymenty... Po diabła mi to było... Mam tyle roboty: muszę napisać recenzję do przewodnika jednego barana, który postanowił powiększyć stado doktorantów, prace z kolokwium leżą nieprzeczytane...

– Proszę cię... – powiedziała cicho i nagle krzyknęła: – Jest! Jest przejazd. I za nim w prawo. No!

– Czego się spodziewasz? – zapytał chłodno po chwili.

– Nie wiem... Może siebie sprzed lat... – uśmiechnęła się niepewnie.

– O, Boże... – westchnął, a właściwie jęknął, ironicznie dystansując się od jej sentymentalnego nastroju.

Wjechał w drogę do lasu i zwolnił, starając się omijać wyboje i dziury.

– Cholera jasna, jak nic rozwałę tego pieprzonego grata. Pójdą amortyzatory... – mamrotał wściekle. Ona nie odzywała się, obrzuciła go tylko smutnym, zrezygnowanym spojrzeniem, a w duchu pomyślała: Andropauza, ohyda...

Droga skończyła się na brzegu jeziora, w lewo i w prawo prowadziły już tylko odnogi węższe i nieutwardzone. Samochód stanął. Rozejrzeli się niepewnie, ale nie widać było żywego ducha, nie mieli kogo zapytać.

– Ja bym pojechała w prawo...

– Można wiedzieć, dlaczego w prawo? W lewo też jest droga.

– Nie wiem dokładnie dlaczego, ale po prostu coś mi szepcze do ucha, że w prawo.

– Do prawego ucha? – zaszydził.

– Nie, do lewego – odparła z naiwną prostotą.

Krzysztof udał, że zamarł. Odegrał starannie parodię: chwilę patrzył przed siebie, potem wolno odwrócił się do Marianny i rzekł cicho, przesadnie akcentując podziw:

– Przekonałaś mnie, wyobraź sobie...

Auto, posłuszne kierowcy, jakby świadomie brało udział w tej demonstracji, ruszyło w prawo i wjechało w wąską drogę prowadzącą wzdłuż brzegu jeziora, mocno ocienioną drzewami tworzącymi malowniczą aleję. Po prawej stronie drogi, za zaniedbanymi płotami lub nadwerżzonymi murami z kamieni

polnych, ciągnęły się gospodarstwa. Same domy były raczej biedne i brzydkie, zwracała natomiast uwagę wyjątkowa uroda budynków gospodarskich: stajen, obór i stodół. Przeważnie murowane z czerwonej fugowanej cegły, miały pięknie sklezione otwory małych, jakby strzelniczych okienek i szerokich wrót. Inne postawiono z kamienia, łączonego z grubymi balami drewna. Krzysztof przyglądał się im z zachwytem, zapominając na chwilę o swoim rozdrażnieniu.

– Spójrz, z jaką starannością, dbałością o piękny detal, wręcz z widoczną miłością oni to kiedyś budowali!

– Właśnie. Po prostu z miłością – zgodziła się Marianna.

– To natomiast chyba dziecko nienawiści. – Wskazał na nieukończoną jeszcze obórkę z bloczków cementowych, niechlujnie, krzywo ułożonych, zachlapanych zaprawą z gliny. – Rozpaczliwej nienawiści do parszywego, zapijaczanego, obmierzłego i beznadziejnego życia...

– A może raczej wyrosło to z biedy i zacofania?

– Co ich, rzecz oczywista, w twoich miłosiernych, wyrozumiałych oczach rozgrzesza, prawda? – zapytał zaczepnie Krzysztof.

Nie dała się sprowokować, dostrzegła tabliczkę nad bramą mijanego domu: „Panistruga 5”.

– To siedem będzie następny.

Tymczasem następny dom jeszcze się nie pokazał. Droga najpierw wznosiła się lekko w górę, pojawił się na niej bruk, a potem zaczęła dość stromo opadać w dół, zamieniła się w polną, wyboistą, z głębokimi koleinami. Po prawej stronie zobaczyli nasyp kolejowy z jednym tylko torem, zakręcający łagodnym łukiem wzdłuż brzegu jeziora, które wrzynało się tu, tworząc małą zatokę, a budowniczych kolei zmusiło kiedyś

do postawienia kamiennego wiaduktu. Prawie tuż przy nim stał dom, całkowicie odizolowany od sąsiadów, wręcz od całego świata. Robiło to wrażenie zaciszności i przytulności, chociaż sam budynek wydawał się zaniedbany i opuszczony, a przede wszystkim nieszczerólnie piękny. Jedyne cztery wysokie, wysmukłe tuje okalające frontowy ganeczek, a raczej jego resztki, dodawały domowi szlachetności. Brama wjazdowa wisiała na jednym zawiasie, ale była bardzo szeroko, gościnnie otwarta.

Wjechali na podwórze za domem otoczone sporymi budynkami gospodarczymi i zatrzymali się na środku w wysokiej, suchej, dawno niekoszonej trawie, potęgującej wrażenie opuszczenia. Marianna powoli otworzyła drzwiczki i wysiadła pierwsza. Od razu wdepnęła w krowi placek.

– To na szczęście – szepnęła, starając się oczyścić podeszwę.

Rozejrzała się – nigdzie nie było widać nikogo, ale zauważyła, że z komina domu idzie dym.

– Trzeba zajrzeć do środka – powiedziała do Krzysztofa, który też wysiadł.

On jednak stał bez ruchu, oparty o drzwi samochodu, i sceptycznie przypatrywał się otoczeniu. Marnie widział szansę sprzedania takiego domu, a jeśli już, to za niewielką cenę. Na dobrą sprawę należałoby go zburzyć i postawić nowy, bo samo położenie nieruchomości było bezsprzecznie atrakcyjne. Trochę podniesiony na duchu postanowił zwrócić na to uwagę agencji.

Nagle z obórki wyszedł młody drobny chłopak z wiadrem mleka. Zaskoczony ich obecnością postawił je na ziemi i patrzył wyczekująco.

– Dzień dobry. – Marianna ruszyła w jego kierunku. Wyciągnęła rękę na powitanie. On szybko wytarł dłoni o sweter, podał

ją niezręcznie, uśmiechając się sympatycznie i przeprasza-
jąco.

– O, przepraszam... ręka brudna z roboty. A to z Warsza-
wy przyjechali. Pani to siostrzenica pani Róży. Czekaliśmy. Ja
z mamą to najbliżsi sąsiedzi. Cały czas pomagaliśmy pani na-
uczycielce... jeszcze jak żył świętej pamięci nieboszczyk mąż.
A potem to już jej samej... niech jej ziemia lekką będzie. Amen.

Przywitał się z Krzysztofem.

– To mój mąż – uśmiechnęła się Marianna.

– A ja jestem Józek. Dobrze, że są. Czekaliśmy. Ja żem właś-
nie krowinę pani Róży przyprowadził dla państwa, bo tak to
u nas stała.

– Zupełnie niepotrzebnie, bo przecież my tylko na jeden
dzień – rzucił Krzysztof, ale tonem uprzejmym, konwersacyjnym.

– Tak? A czy to warto tak na jeden dzień gdzieś jeździć?
– zdziwił się dobrodusznie chłopak. – Proszę do domu, proszę...

Ruszył, wskazując drogę. U stóp schodków prowadzących
do drzwi wejściowych zawołał:

– Mamusia?! – i zaraz obrócił się do nich: – Niech wchodzą,
bo mamusia źle słyszy.

Marianna ruszyła pierwsza, Krzysztof za nią. Zanim na-
cisnęła klamkę, odwróciła się do męża, bez słowa skierowała
palec na siebie, a potem dłonią pokazała, jakiego była wzrostu.
Wzruszyło ją to wyraźnie – on wzruszył ramionami. Położył jej
rękę na plecach i lekko popchnął, robiąc cierpiętniczą minę.

Starsza, zażywna kobieta, w ciasno zawiązanej na głowie
chustce, odwróciła się od kuchni i spojrzała na wchodzących
z uśmiechem:

– To ja telefonowałam – oznajmiła. – A panią to bym nawet
na ulicy poznała, taka pani podobna...

– Zawsze wszyscy mi to mówili, że bardziej w ciocię niż w mamusię się wdałam... – powiedziała Marianna tonem trochę nazbyt familiarnym i wyciągnęła rękę.

Kobieta szybko wytarła dłoń o fartuch i trochę niezręcznie ją podała.

– Helena jestem.

Krzysztof zawahał się na ułamek sekundy, czy ma się przywitać, czy tylko skłonić, ale w końcu też podał jej rękę.

– Kalinowski – mruknął.

– Państwo pewnie głodni, z drogi? Ja tu właśnie kończę...

– Zakręciła się i z wprawą coś przestawiła na rozgrzanym blacie kafłowej kuchni.

Krzysztof się ożywił.

– Nie ukrywam, że jestem głodny. Bo moja żona to ukrywała!

Helena roześmiała się z sympatią, mrugnęła okiem i powiedziała do Krzysztofa konfidencko:

– Zaraz się przyzna! Może państwo obejrzą sobie dom, a ja za chwilę zawołam na posiłek...

W domu było czysto i schludnie. Krzysztof siedział oparty wygodnie na starej pluszowej kanapie, Marianna przycupnęła na rozchwierutany krzeselku przy komodzie, na której stały fotografie, bukiet suchych kwiatów, drobiazgi świadczące o dobrym smaku zmarłej. Stare ładne meble, na ścianach parę pociemniałych obrazów, oprawiony rysunek zrobiony ręką dziecka. Marianna patrzyła na trzymaną w rękę fotografię.

– Mama... była starsza od Róży – mówiła cicho. – A tu... jaki zabawny... wuj Bronek.

Odstawiła fotografię, sięgnęła po inną w ozdobnej ramce. Przyglądała się jej w milczeniu. Zachodzące słońce wspaniale

oświetlało wnętrze przez sprane, nieco podarte koronkowe firanki.

Marianna spojrzała na męża.

– To ja. Nie pamiętam, kiedy coś takiego... – Odwróciła się w stronę okna i znieruchomiała.

– Słyszysz? – zapytała po chwili.

– Co?

– Jaka cisza...

W głębi domu skrzypnęły drzwi, usłyszeli kroki i ciche niewyraźne głosy. Krzysztof ziewnął, starając się to ukryć.

– To przez to powietrze... – usprawiedliwił się.

– Zanocujmy tu – poprosiła. – Do mecenasa pójdziemy jutro rano i szybko wyjedziemy. Przecież teraz zaśniesz za kierownicą.

– Może masz rację... – mruknął zrezygnowany, a w gruncie rzeczy zadowolony. Powieki mu się kleiły.

Marianna siadła obok męża, podając mu fotografię, on parsknął śmieszkami.

– Wstrząsające! – wykrzyknęła nagle.

Zatrzymała się przed oprawionym, wiszącym na ścianie rysunkiem. Roześmiała się.

– Jak myślisz, czyje to dzieło?

– Twoje? – zapytał Krzysztof i podszedł bliżej.

– Tak.

– Poznają twoją kreskę – zażartował – niebywałe.

– To znaczy, że w ogóle się nie rozwinęłam od tamtego czasu...

– Powinnaś to dołączyć do swojej jesiennej wystawy.

Roześmiali się oboje, chyba pierwszy raz od dłuższego czasu zrobili coś w zgodzie. Marianna spojrzała jeszcze raz

na rysunek i powiodła wzrokiem po pokoju: piękne małżeńskie łożo z górą poduszek i kapą, szafka, na niej okulary, stara książka do nabożeństwa, jakieś proszki, buteleczki lekarstw. Na stole sprana serweta, szklany flakon, w nim suchy bukiet. Obok antyczny zegarek, „cebula” z łańcuszkiem, i porcelanowy talerzyk z nożykiem do owoców. Coś, czego można dotknąć delikatnie, końcami palców. Na ścianie rzeźbiony, drewniany zegar. Nieruchomy, a wyglądał, jakby tykał cichutko. Na oparciu fotela przerzucona, ręcznie robiona szydełkiem chusta. Marianna popatrzyła na pękającą starą szafę, ale nie otworzyła jej. Dotknęła rzeźbionego drewna.

Krzysztof stanął przy oknie i patrzył w zarośnięty, zdziczały sad. Marianna podeszła do niego.

– Sad jak z Czechowa... – szepnęła. – I ten nastrój... Zostańmy tu nie tylko na noc. Na zawsze...

Krzysztof odpowiedział cicho, ale spokojnie i rzeczowo:

– Pani zwariowała w Panistrudze, Marianno Filipowna.

– Chyba tak – przyznała nadal szeptem.

Zapukano do drzwi.

– Proszę... proszę... otwarte – rzuciła Marianna.

W progu ukazała się Helena, teraz gładko uczesana, w czystym fartuchu. Na brzuchu spłotła bardzo zniszczone dłonie. To odwieczny gest – pomyślał Krzysztof – te Indianki w Kansas też tak zaplatały...

– Prosimy na kolację – odezwała się Helena.

– Już idziemy... – Marianna uśmiechnęła się, nie bardzo chciała opuścić pokój, żal jej było zerwanego nastroju.

– Tak tu jest... – zaczęła szukać określenia, słowo „pięknie” wydawało się jej banalne, nieoddające tego, co odczuwa.

Helena wychyliła się w jej kierunku, jak osoba źle słyszająca.

– Niczego tu nie ruszaliśmy. Odkurzyłam teraz tylko. Wszystko jest tak, jak zostawiła pani Różyczka. Co to był za człowiek... Wszyscyśmy ją... wszyscy okoliczni i dzieciaki...

Głos jej ucichł, nie umiała wydobyć słowa ze ściśniętego gardła. Bezradnie pocierała ręce.

Marianna szybko podeszła do Heleny, objęła ją serdecznie, a potem spontanicznie pocałowała w policzek.

– Dziękuję, pani Heleno, wiem. Krzysiu, idziemy. Mąż jest okropnie głodny – dodała.

Usiedli w kuchni, przy stole zastawionym specjalnie na tę okazję, ale jednak skromnie. Była jakaś kiełbasa, „swój” biały ser, kiszzone ogórki, masło, jajecznicza i piękny bochen chleba. Herbata w szklankach, stały też butelka najtańszej wódki i rozstawione kieliszki. W piecu kaflowym buzował ogień, na nim wielki czajnik, jakieś garnki. Pani Helena precedziła mleko z wieczornego udoju, pomagał jej syn przebrany w inną koszulę, z przeczesanymi na mokro włosami. We wnęce nad piecem spał kot w poczuciu bezpieczeństwa, czasem tylko otwierał jedno oko i przyglądał się gościom z wyraźną pogardą. Krzysztof jadł z wielkim apetytem.

– Myślałem, że już nie ma na świecie takiego masła... Ta kiełbasa też własnej roboty? I chleb?

Młody się roześmiał.

– Musi być. Do sklepu to tylko przy okazji. Proszę... pani się częstuje... na zdrowie niech idzie.

– Mogłeś napalić w jadalni – zaproponowała pani Helena.

– Nie. Tu jest tak dobrze, domowo... – Marianna nie ukrywała zachwyty .

– Już nocami przymrozki – przyznał młody – ale każda pora roku tu u nas jednakowo piękna. Jutro pójdą na spacer, to zobaczą okolicę i wszystko, co do nich należy. Pani Róża zawsze mówiła, że tu jest raj. – Znów się zaśmiał.

– O, to moja żona oszaleje – podjął Krzysztof i wyjaśnił:
– Jest malarką.

– No... – powiedział z podziwem młody.

– Dom muszą sprawdzić dokładniej – odezwała się pani Helena – piwnicę i strych, i pokoje. Wszystko jest, co było.

– Ale trzeba się za remont wziąć – ożywił się młody.
– W paru chłopą zrobimy. Tu nigdzie nie ma żadnej pracy... ciężko. Ziemia marna, a żyć trzeba. Zrobimy! – zapewnił. – No, to może... – Podniósł kieliszek.

Krzysztof przełknął, chrząknął, Marianna sięgnęła po kieliszek, rzucając ukradkowe spojrzenie na męża.

– Jeszcze herbaty? – zapytała pani Helena.

Nalała słabej esencji i wrzątku z wielkiego czajnika. Młody otarł usta i sięgnął po papierosa, ale wepchnął go z powrotem do paczki i wyciągnął rękę w kierunku Marianny.

– Dziękuję, nie palę. A mąż tylko fajkę.

– To tak jak nasz proboszcz – pochwalił się młody.

– Nie kurz tu, Józek. – Kobieta zmarszczyła czoło. – Kopci jak z komina.

– No, to chociaż ja – wesoło odpowiedział młody. – Bo w naszej chałupie... – wychylił się ku oknu – nie, już za ciemno, nie widać, komin się zawalił i robimy ze zdunem Okońskim Ignacem. To i dobrze się złożyło, że akurat matka dziś tu musiała przyjść, bobym gotowanego dzisiaj nie jadł. – Śmiał się rubasznie, chociaż z wdziękiem, i dodał: – Ale my nie będziemy przeszkadzać, wieczorem pójdziemy na swoje...

– Spokojnie, panie Józefie – powiedział Krzysztof – jak już wspomniałem, myśmy chcieli wpaść tylko na dzień, po tym telegramie notariusza. Jutro to już na pewno musimy wracać... obowiązki... praca...

– Pan to ma pracę! – pokiwał głową młody z zazdrością w głosie.

– Mąż pracuje w domu, ale ma stałe wykłady na uniwersytecie, dwa razy w tygodniu. Skończył medycynę, tyle że nie praktykował, a zajął się pracą naukową – wyjaśniła Marianna.

Młody kiwnął głową z szacunkiem.

– Doktor to jest piękny zawód.

Krzysztof chciał coś powiedzieć, ale Józek ciągnął dalej:

– Mnie to się marzyło iść na jakąś mechanikę. Lubię ja majstrować, zawsze jak co trzeba takiego naprawić, to wszyscy do Józka. Pani Róża to ciągle mamusi mówiła, skończy Józek szkołę, to trzeba go dać dalej na naukę. Do Ełku albo gdzieś. Chwaliła mnie. Dobrze się uczyłem. No, ale cóż... nie było mi dane. – Zaśmiał się smutno.

– Już nie jedzą? – zatroskała się pani Helena.

– Dziękujemy. Strasznie się objedliśmy. – Marianna uśmiechnęła się i zaczęła zbierać talerze.

– Wszystko było takie smaczne – dorzucił Krzysztof.

Młody zerwał się od stołu.

– Proszę zostawić.

Krzysztof ziewnął dyskretnie.

– Pójdą spać, bo zmęczone – powiedziała pani Helena. – Tutaj... – uniosła pokrywę garnka – nagrzałam wodę na mycie. Jutro raniutko przyjdę i wszystko uprzątnę. Tylko to zaniosę do spiżarki, tam chłodniej i much nie ma. – Zabrała masło i wędlinę.

– To była wspianała kolacja, ale rzeczywiście lecę z nóg.
– Krzysztof chwiejnie wstał od stołu.

– Pomogę rano – powiedziała Marianna.

– Nie trzeba. Nie trzeba. Ja sama – zapewniła pani Helena, zdejmując fartuch. – O, tu jest klucz, trzeba zawrzeć drzwi.
– Podała klucz wyjęty z kredensu.

– Okolica spokojna, ale zamknąć się należy – zaśmiał się Józek. – Tylko pani wyjmie, bo ja mam drugi u siebie, a nie mógłbym się rano dostać.

– Dobrze. Dzięki. No, to dobranoc, pani Heleno, dobranoc panu.

– Dobranoc – Krzysztof ukłonił się uprzejmie.

– Spokojnej nocy – powiedziała pani Helena i Józek dorzucił swoje:

– Dobranoc.

Leżeli oboje w pięknym, starym małżeńskim łóżu, na wysoko ułożonych poduszkach, przykryci pierzyną.

– Pościel pachnie łąką... skoszoną trawą...

– Ooo, jak dobrze – mruczał Krzysztof.

Słysząc było dalekie szczekanie psa. Jeszcze dalej odpowiadały inne.

– Nocne psy... – uśmiechnęła się Marianna. Słuchała chwilę. – Krzysiu... a gdybyśmy tak tu zamieszkali?

– Śpij już.

– Wreszcie mielibyśmy dom... własny... prawdziwy. Porównaj go z naszym mieszkaniem... Ogród... sad... postawilibyśmy ule, posialibyśmy te kwiaty, które lubią pszczoły...

– Już rzucam wydział i zostaję pszczelarzem... Albo lepiej pszczołą... Matką... To znaczy: ojcem... – mamrotał sennie Krzysztof.

– Zostajesz pszczelarzem, ale nie rzucasz uczelni – zapaliła się. – Możesz jeździć, a tu... tu urządzimy ci gabinet do

pracy, nawet laboratorium... Krzysiu, wstań! Zwiedzimy cały dom!

– Oszalałaś?! Leż!

– To pójdę sama. – Odrzuciła pierzynę.

– Nie! Śpij, na Boga! Przykryj się! Jesteś szalona.

Ułożyła się niechętnie i podjęła z naiwną tęsknotą:

– Czy wiesz, jak przedłużylibyśmy sobie życie?

– „I żyli długo i szczęśliwie”. „Był sobie dziad i baba...”.

– Krzysiu... Krzysiu! Drugiej takiej okazji już los nam nie ofiaruje.

– No i dobrze, a ty nie proś go o to. – Krzysztof wtulił się mocniej w poduszkę.

– Nie proszę o drugą. Chciałabym być wdzięczna za tę... Tu odbywałyby się zjazdy rodzinne, przyjaciele spędziliby wolne chwile...

– Sprzedawałabyś na jarmarkach ser, jaja, kury...

– Czyste powietrze... czysta woda...

– Czyste szaleństwo – dorzucił coraz bardziej senny Krzysztof.

– To nie szaleństwo. To ma racjonalne podstawy. Proszę cię... proszę cię... proszę... – przytuliła się do jego pleców.

– Przestań już bredzić. Zlituj się nade mną i śpij! Marianna, chcesz żebym poszedł spać do samochodu?

– Nie. Dobranoc. – Szepnęła, ale leżała z szeroko otwartymi oczami.

Światło księżyca delikatnie rozświetlało pokój przez koronkowe podarte firanki, wyławiało drobiazgi na półce z książkami, suchy bukiet z ziół, fotografie na komodzie. Wciąż słysząc było szczekanie psów. Trzasnęła rozsychająca się szafa. Krzysztof zaczął chrapać.

Może już było trochę jaśniej, ale wciąż jeszcze trwała noc. Wtuleni w poduszki oboje spali głęboko, gdy nagle rozległo się pukanie do okna, i to coraz bardziej natarczywe. Krzysztof siadł na łóżku i zapytał bez sensu:

– Która godzina?

– Co? Co się stało? – Poderwała się Marianna.

Krzysztof oprzytomniał.

– Zachowaj spokój! – rozkazał szeptem. – Chyba napad!

Szyby dzwięczały od natarczywego pukania, jakby miały się rozpaść.

– Dlaczego napad?

– A dlaczego są napady? Cicho bądź! Nie ruszaj się albo włącz pod łóżko! Idę do kuchni po nóż!

Rzuciła się, by go zatrzymać.

– Krzysiek! Nie! Boże! Jakby to był napad, to by nie walili w okna, tylko wybiliby szyby albo wyważyli drzwi!

Wyrwał się jej.

– A więc ukradli nam samochód!

– Skąd wiesz?

– A ten dureń Piotrowski zapewniał, że nasz parking taki bezpieczny!

– Boże, Krzysiu, co ty mówisz?!

Wciągał nerwowo spodnie, szurając stopami, szukał butów.

– Jak mogłem nie wziąć rewolweru na gaz?! Nie podchodź do okna! Zgaś światło!

Marianna zgasiała natychmiast w panice i krzyknęła, chcąc, żeby oprzytomniał:

– Krzysiu! Ktoś coś woła!

Zamarli oboje. Niewyraźny głos powtarzał między uderzeniami:

– Panie doktorze! Panie doktorze!

– Wołają cię!

Zerwała się z łóżka i podbiegła do okna.

– Odsuń się, Marianno. – Krzysztof ją odepchnął.

Dzielnie otworzył okno, pchnął okiennice.

– Kto tam? – zapytał.

Zobaczył dwóch mężczyzn, którzy zadzierali ku niemu głowy. Jeden powtarzał nerwowo:

– Panie doktorze! Panie doktorze!

Drugi mu przerwał:

– To ja. Józek! A to sąsiad z Bałamutowa, Kowal Henryk, jego żona Kowalicha urodzić nie może!

– Panie doktorze! – zajęczał Kowal. – Pomóc jej trzeba! Ratuj pan!

– Ludzie! Ja nie jestem lekarzem!

– Zapłacę, co mogę! Panie doktorze!!!

– Człowieku, zrozum, ja się zajmuję...

– Będzie po niej – wtrącił się Józek. – Wykrwawi się.

– O Jezu! Ratuj pan, doktorze! Osieroci tamtych sześcioro, nie dam rady... Taka dobra żona...

Zaczął płakać.

– Tu trzeba prawdziwego lekarza! Panowie... – Krzysztof złapał się za głowę:

– Skąd go wziąć? Ośrodek w Starych Juchach to tylko w dzień. Karetkę z Elku to zanim się sołtys dodzwoni, a zanim tu dojadą... – mówił gorączkowo Józek.

– Zawsze rodziła z krzykiem, jak Pan Bóg przykazał, a teraz cichnie, oddech traci. Ratuj, doktorze! – rozpaczliwie krzyknął kowal.

Marianna, już ubrana, dopchnęła się do okna.

- Kto jest tam przy żonie?
- Sąsiadki i moja siostra, ale dzieciak nie chce wyjść. Tyle godzin się męczy. Kończy się ona jak nic... Boże...
- Pojadę pomóc.
- Ty?! – spytał Krzysztof oszołomiony. – A co ty możesz? Zwariowałaś?!
- Jeżeli ty nie chcesz... – odparła ostro. – Wolisz stać jak słup soli...
- Kretynko, czy ty wiesz, jaka to odpowiedzialność?! Ja nigdy nie odbierałem porodu!!! Tylko asystowałem na praktyce! Rozumiesz?
- A jeśli ta kobieta umrze...
- Ale co ty umiesz?! Co ty umiesz?! Jak ty jej możesz...?
- Marianna otworzyła komodę, potem szafę i znalazła czyste złożone prześcieradła. Wyciągnęła kilka i szybko ruszyła do drzwi.
- Napatrzyłaś się w telewizji i myślisz, że to tak łatwo... – krzyknął w rozpacz Krzysztof.
- Marianna odwróciła się i rzuciła mężowi twarde, nieustępliwe spojrzenie. On stał zrozpaczony. Otworzyła drzwi i wyszła przed dom. Podała prześcieradła Józkowi.
- Potrzyмай. Wezmę kluczyki od samochodu.
- Nie da rady. Woda stoi tam na drodze. Grząsko.
- Pobiegniemy przez las i polem, na skróty! – krzyknął Kowal.
- W porządku.
- Ruszyli szybko. Już zanurzali się w las, więc nie widzieli biegnącego za nimi Krzysztofa, wkładającego kurtkę w biegu.
- Samochodem!!! – krzyknął do nich.
- Marianna niewidoczna odkrzyknęła:
- Nie da rady! Grząsko!

W kuchni zagraconej i biednej chaty siedziały dwie wiejskie baby, szóstka dzieciaków, z czego część spała, gdzie popadło, był też kot i małe kurczęta na odgradzonej części podłogi koło pieca. Marianna dołożyła do niego drewek, a zamykając, oparzyła się o drzwiczki, ale nie zrobiło to na niej wrażenia. Na płycie parowały garnki z wodą. Obie kobiety monotonicznie odmawiały modlitwę.

Marianna odwróciła się do nich zniecierpliwiona i powiedziała półgłosem:

– Proszę pań, ona jeszcze żyje! Tak nie można.

Kobiety zamilkły i popatrzyły na nią wzrokiem bez wyrazu.

– Trzeba wierzyć, że się uda. Zawsze!

Kobiety najpierw cicho, potem półgłosem powróciły do mamrotania tej samej modlitwy. Jedno z dzieci zbudziło się i zaczęło płakać. Marianna wzięła je na ręce i zapytała dość wrogo:

– Gdzie jest sypial... gdzie one śpią?

Jedna z bab, nie przerywając modlitwy, wskazała głową. Marianna otworzyła drzwi i niepewnie weszła do ciemnego wnętrza. Za nią ruszyło dwoje starszych, które nie spały. Z izby rodzącej wyszła silna młoda kobieta, spocone włosy przylepiały się do jej urodziwej twarzy. Była w obcisłych dzinsach i mocno wyciętej białej koszulce gimnastycznej, pod którą rysowały się śmiało sterzące piersi. Nalała sobie kubek wody z wiadra i wypijała duszkiem. Marianna przyglądała się jej z ciemnego pokoju, sama nie będąc widoczna. Poczowała ukłucie zazdrości, że Krzysztof jest z nią tam, za zamkniętymi drzwiami, i może nawet ona, pomagając mu, dotyka jego ramienia taką twardą, jędrną pierśią.

Modlące się umilkły i patrzyły pytająco na młodą, ona machnęła ręką i wróciła do rodzącej. Marianna odpędziła głupie

myśli, wyszła z ciemnego pokoju i przysiadła na stołku. Patrzyła na otaczającą ją biedę. W kuchni zamiast podłogi było klepisko, ściany, kiedyś bielone, poszarzały od dymu i brudu, wiadro z wodą nie miało żadnego zakrycia. Kobiety znów mamrotały monotonicznie. Nagle rozległ się niespodziewany odgłos klaśnięcia i krzyk niemowlaka.

Marianna wstała i przyłożyła dłonie do ust. Nie czuła napływających do oczu łez. Kobiety umilkły. Noworodek zaczął płakać, słycać teraz było niewyraźne głosy i krzężanie. W drzwiach za Marianną stanęła dwójka starszych dzieci. Odwróciła się do nich i powiedziała cicho przez łyzy:

– Jest.

– A mama? – zapytała dziewczynka.

Marianna uśmiechnęła się niepewnie. Powoli otworzyły się drzwi i stanął w nich Krzysztof; wycierał umyte ręce w ścierkę, był rozczochrany, spocony i miał rozpiętą koszulę. Szukał wzrokiem żony. Popatrzyli na siebie. On świadom, że gra główną rolę, wytrzymał chwilę, nim obwieścił:

– Chłopak! Pchał się do życia bokiem, ale już wszystko do brze.

– A mama? – znowu zapytała dziewczynka.

Krzysztof uśmiechnął się do niej.

– Śpi. Bardzo słaba. Nie wchodźcie tam. A najlepiej jazda spać.

Marianna sięgnęła po marynarkę męża, rzuconą na oparcie krzesła, on, patrząc na nią z zadowolonym uśmiechem, przecesał dłonią włosy, a potem zaczął odwijać rękawy. W oczach jawiło się oczekiwanie na potwierdzenie jego wspaniałości. Podając mu marynarkę, Marianna szepnęła bardzo serio:

– Jesteś wspaniały.

– A jak myślałaś? – starał się obrócić to w żart, ale w gruncie rzeczy rozpieierała go duma.

Roześmiała się, przytuliła do niego i powiedziała cichutko z policzkiem przy jego piersi:

– Jak mocno bije ci serce.

Bez słowa przygarnął ją na chwilę.

– Gdzie twoja kurtka? – spytała.

Sięgnął i zdjął ją z gwoździa. Z pokoju położnicy wyszła młoda kobieta.

– Namordował się pan, doktorze... – powiedziała.

– No, ale gdyby nie pani...

– I Bóg Najwyższy – skrzekliwie odezwała się jedna z bab.

Krzysztof rzucił na nią przelotne spojrzenie.

– Gdzie szczęśliwy ojciec? Niech wie, że ma syna.

Dziewczynka wybiegła z chaty.

– Tato! Tato!

Marianna westchnęła z ulgą:

– *Come on, doc.*

– Zejdź ze mnie, kochanie.

– Nie bardzo jest czym ugościć... – zaafetowała się młoda kobieta.

– Nie, nie, nie trzeba – zapewnił Krzysztof i na pożegnanie obrzucił ją spojrzeniem pełnym męskiego uznania. – Do widzenia. I bardzo proszę, aby ojciec dziecka pojechał rano do ośrodka zdrowia.

– Przypilnuję brata. Bardzo dziękujemy. I pani niech Bóg da wszystko, co najlepsze.

Marianna podziękowała jej skinieniem głowy i szybko wyszła pierwsza.

Wracali przez las. Było już jasno, nad horyzontem od wschodu różowiło. Szli skuleni pod kurtkami, bo po nieprzespanej nocy chłód poranka dawał się we znaki. Krzysztof mówił bardziej do siebie niż do Marianny:

– To bardzo dziwne uczucie. Bardzo...

Marianna wzięła głęboki oddech, ale powstrzymała się od zabrania głosu. Szła za nim, uśmiechając się tylko.

– Jak się dowiedzą nasze dzieci, to padną ze śmiechu! – starała się obrócić wszystko w żart.

– Nie. Będą z ciebie dumne. One też... – dodała znacząco.

Przyjrzał się jej podejrzliwie, ale w gruncie rzeczy był zadowolony. Na wszelki wypadek postanowił zerwać budujący się sentymentalny nastrój.

– No dobra. Będzie tego. Ależ jestem głodny... I napiłbym się dobrej kawy.

– To już w Warszawie, doktorze. Nie wzięłam, niestety. A śniadanie zrobi nam pani Helena – Marianna szybko dostosowała się do jego tonu.

Weszli na wzgórze i stanęli olśnieni wspaniałą panoramą okolicy. Widać było jezioro, smugę lasu, rozrzucone dachy gospodarstw i jesienne mgły snujące się nad łąkami. Mały kościółek białł się wśród drzew, a niżej, na niestromym stoku leżał cmentarzyk. Stali w milczeniu, aż Krzysztof przerwał je pierwszy:

– Spójrz na te wzgórki: wyglądają jak grzbiety jakichś płowych zwierząt, które ułożyły się tu do snu.

– Może to wielbłądy? Przecież te strony nazywają się Mazury Garbate.

– Tak, to wielbłądy. Turecka karawana wiezie rodzinę do Gdańska, żeby je wymienić na bursztyny. Naturalnie po drodze

zatrzymali się we Lwowie... Tak, tak, w moim Lwowie! – nie dał jej dojść do głosu, wiedząc, co chce powiedzieć.

– Wielbłądy, a śpią jak susły, lenie! Wstawać, lenie! – krzyknęła z całej siły.

Popatrzył na nią jak na wariatkę.

– Wiesz co? Ty masz kuku na muniu!

– Co?! – parsknęła śmiechem.

– Tak w moim Lwowie mówiono na kogoś, kto był walnięty.

Powoli zza horyzontu zaczęło wyłaniać się słońce. Patrzyli zafascynowani.

– Niebyswałe... – mruknął Krzysztof.

– A namalujesz... kicz! – powiedziała cichutko Marianna i nagle dodała: – Krzysiu, spędźmy tu przynajmniej jeszcze przyszłe lato, zanim...

– Lato? – Odwrócił się do żony. – Przecież zaplanowaliśmy Hiszpanię. Tak się na nią cieszyłaś. Zorganizowani już są i Staszowie, i Darscy, Jasio Żurek z nową flamą... cała kawalkada...

Patrzyła na niego przez chwilę błagalnie.

– Ofiaruj mi to lato tutaj. Pożegnalne... – Zatoczyła rękami krąg.

Krzysztof pokręcił głową.

– Ktoś tu jest melodramatyczny. Albo właśnie walnięty.

– Ja. Ale to ty dałeś się nabrać przed trzydziestu pięciu laty...

Wysoko, na jasnym już, lekko zaciągniętym bladym błękitem niebie pojawiła się biała smuga ciągnięta przez malutki jak zabawka samolocik lecący na wschód. Dopiero po chwili usłyszeli stłumiony warkot potężnych silników przelatującego samolotu. Marianna zadarła głowę i zaczęła machać.

– Zawsze tak robiliśmy, przychodząc na tę górkę. Byliśmy pewni, że lotnik to widzi i nie czuje się taki samotny. Tam w górze. A może być ten sam lotnik.

– Niewątpliwie – zapewnił ją Krzysztof – stary pierdziel dobrze się trzyma. Ale i tak go wyleją niedługo! Zostanie emerytem i będzie sklejał modele.

– Jesteś podły – Marianna udała zgrozę.

– Patrz.

Słońce oświetlało teraz już całe siedlisko Róży Kapli i ich mały samochód na podwórzu. Z komina ulatywała smużka dymu. Helena stała przed domem, za nią jakiś mężczyzna. Józek wszedł do obórki, pies też. Po chwili wyprowadzili krowę, kierując się na łąkę, na której pasł się koń. Mężczyzna postawił jakieś pudło na progu domu i oddalił się ku drodze, Helena zniknęła w środku. Drzewa w sadzie, stare i zaniedbane, zakłócały się lekko, jakby to one wywoływały wiatr, a nie on nimi kołysał.

– Pamiętasz, jak Jacek, kiedy był mały, nie lubił wiatru? Twierdził, że to ruch drzew go wywołuje. Zresztą miał mocne argumenty, pokazywał je na wachlarzu ciotki... Miał receptę, jak wyeliminować wiatry: wyciąć drzewa!

Marianna się zamyśliła.

– Ciotka Róża, dzielna nosicielka kaganka oświaty – powiedziała w zadumie. – Zostawiła miasto, zdębiała z wrażenia familię i wyjechała na wieś. Czuła się tu potrzebna i szczęśliwa. Nie była ładna, ale dobra, uczynna i miała zniewalający urok. Bili się o nią młodzi gospodarze, a wygrał weterynarz Bronisław Kapla. Wzięli ślub, nasza rodzina uznała to za dyshonor i mezalians i prawie się jej wyrzekła. Co nie przeszkadzało przyjmować od niej tłustej gąski na święta, grzybów, koszy czarnych przesłodkich

czereśni, czy podsyłać jej dzieci na wakacje. Kochana ciotka Róża. A potem wuj Bronuś utopił się w słabo zamrożonym jeziorze, a ona dzielnie nadal prowadziła szkołę i gospodarstwo.

– A dlaczego wszystko zapisała tobie?

– Sama nie wiem. Nie mieli dzieci... a tak naprawdę to z wszystkich dzieci z naszej rodziny ja jedna kochałam to miejsce. Nawet nieźle pracowałam w polu...

– Jednym słowem od dziecka byłaś robotna. – Krzysztof, zgodnie ze swoją naturą, czujnie zniszczył w zarodku rzewne nuty Marianny.

– A potem studia, ty, dzieci, i zdradziłam ją. A ona... Tak. Czasem nieodwracalnie przegapiamy coś w życiu. Chodźmy.

Dotarli do obejścia i weszli na podwórze. Krzysztof zegnał kurę z dachu samochodu. Uciekła w popłochu, zostawiając na masce dowód swego przerażenia. W drzwiach stanęła pani Helena, uśmiechając się bardzo serdecznie.

– Te króle to od Kowala Henryka. – Wskazała na pudło na progu domu. – Za chłopczyka i za żonę. Dla pana doktora – powiedziała ciepło i z uznaniem.

– O Boże... – jęknął Krzysztof. – No nic. Dziękuję.

Marianna nachyliła się nad parą białych królików.

– Piękne. Ale muszą tu zostać.

– Pewnie. Co tu wozić w tę i z powrotem – zgodziła się pani Helena. – No, proszę. Śniadanie czeka. Lubią miód z gryki?

Ruszyła w głąb domu, a oni za nią.



*Marianna (Anna Dymna) i Krzysztof (Leonard Pietraszak),
bobaterowie serialu, w Panistrudze*

Siedlisko stało się kultowym serialem długo przed tym, zanim temat Mazur rozlał się po ekranach telewizorów. Kręcony na taśmie filmowej, nagrany przez wybitnych aktorów (nawet w epizodach), był jednym z nielicznych zrobionych z takim wyczuciem.

Mazurska barwna jesień po latach spędzonych w mieście

Malarka i profesor medycyny porzucają Warszawę dla uroczego domu na wsi. Sprowadzają się tam ze swoją miłością, z marzeniami i bagażem trosk, przekonani, że odnaleźli swoją szczęśliwą przystań. Na akceptację miejscowych muszą jednak zapracować. Z ich pomocą i dzięki własnemu uporowi budują pensjonat, by ukochanymi Mazurami móc dzielić się z przyjaciółmi. Wyjątkowo życiowa historia!



*Janusz Majewski, mąż Zofii Nasierowskiej, fotografki boskiej,
a potem czarodziejki kuchni w domu identycznym jak
w Panistrudze, do którego sprowadzili się oboje w latach 90.
Na prośbę żony i według scenariusza jej i Wandy Majerówny
nakręcił serial. Trzydzieści lat później napisał książkę.
Dla Niej i na pamiątkę ich Mazur.*

♥ jedyinka.polskieradio.pl



www.marginesy.com.pl

978-83-933758-0-6



9 788393 375806

cena 49,90 z^z (w tym VAT)